

Taka zwyczajna fotografia

W szufladzie, pełnej rodzinnych pamiątek,

jest jedna szczególnie cenna. Na pozór to tylko zwykła, poźółkła ze starości fotografia, przedstawiająca trzy młode, słiczne dziewczyny. Znało je kiedyś Krosno. Najstarsi mieszkańcy pamiętają do dzisiaj. To najpiękniejsze, w latach trzydziestych, krosnieńskie panny: Maria, Zofia i Irena Machowskie.

Ta zwyczajna fotografia, gdyby umiała mówić, opowiedziałaby o rzeczach nieawykłych, o tragicznym losie dwójki małych dzieci i ich gehennie, zakończonej dzięki łaskom paniom z fotografią. A właściwie tylko dwóm. Najstarsza, na fotografii stojąca najniżej, Maria Machowska żyła najkrócej i jej właśnie los przyszykował najwięcej cierpień.

Rowdziła krosnianka, zamieszkała z rodzicami, a później siostrami, kamienicę w rynku pod numerem 21, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego podjęła pracę u właścicieli majątku w Zarządzie kolo Tarnopola. Była wspaniałą nauczycielką muzyki, bez jej udziału nie odbył się ani jeden wieczorek „tańczący”. Na jednym z takich spotkań poznała nauczyciela z miejscowej szkoły, oficera Wojska Polskiego, Antoniego Tarnawskiego. Czasy były niepewne, złe wieści nadchodziły ze świata, postanowili się pobrać i razem przeciwstawić losowi.

W 1935 roku urodziła się Danusia, w dwa lata później Adaś, a w 1939 r. ojciec dostał wezwanie do wojska. Odprowadzili go na stację. Lwów był tak blisko, liczyli na rychły powrót taty.

Pierwsza kartka przyszła z Koziełska: „Zabierzaj Maryla dzieci i jedź do Krosna”. Więcej kartek nie było. Tylko sucha informacja: „Zaginął bez wieści”.

Którejś nocy do drzwi plebanii, w której zamieszkała pani Maria z dziećmi, zapukał Rosjanin. Jeden z nich powiedział do „piecioletniej” wówczas Danusi: „Nie płacz, rebionka. Pojedziesz do pa-

całej Rosji szukała ojca. Pisała do babci w Krośnie, której udało się przesłać nam paczkę z żywnością i odzieżą. Codziennie jedliśmy zupę bez nazwy i czarny chleb. Dokuczaly wszy. Mama odmroziła sobie nogi, lekarza nie było, przypiętała się gangreną. Zmarła piątego lutego 1943 roku. Sąsiedzi zawinęli ją w koc i pochowali w obecnej ziemi. Ani ja, ani Adaś nie uczestniczyliśmy w pogrzebie. Nie mieliśmy butów.

Czy ośmiioletnia wówczas dziewczynka ma prawo pamiętać wszystkie szczegóły swojego sybirskiego życia? Nie, ale utrzymuje ścisły kontakt z Romanem, kolegą z jednej lepianki. W latach wojny był już dorastającym młodzieńcem. Po powrocie do Polski odnalazł osierocone dzieci i zapraszał na wakacje do podoprzańskiej parafii, której był proboszczem. To on uzupełnia wszelkie luki w pamięci, choć czasem chciałoby się zapomnieć.

Po śmierci matki, Danusią i Adamem zaopecowały się polskie rodziny, ale głód dokuczał wszystkim jednakowo. Dziewczynka szukała resztek jedzenia na śmietnikach, do dziś nie rozumie, jak przetrzymała tyfus. Najmowała się do opieki nad innymi dziećmi. W zimie modliła się o zlitowanie boskie. Pomoc przyszła jednak od ludzi.

— Do domu dziecka, w Majsku, do którego otrzymaliśmy skierowanie — kontynuuje swoją opowieść pani Danuta — jechaliśmy kilka dni. Na wielbiadach, bo to



Reprodukcja B. Bajorski

przy karczowaniu lasu, w lecie — zdrapywała taką kolorową glinę ze skał i pakowała proszek do woreczków. Co to było? Nie wiem. W lecie — gorąco, w zimie — mrozy, a my nie mieliśmy z bratem butów. Adaś bardzo chorował. Mama pisała, gdzie się tylko dało. Po

był w Kazachstanie najpewniejszy środek lokomocji. Jednej nocy zapakaliśmy w jakimś aule do chatki, w której paliło się światło. Mieszkała w niej Polka. Nakarmiła nas, wzięła nazwiska i adres domu dziecka i obiecała, że nie zapomni o nas. Powiedziała, że już wkrótce zabierze nas do Polski. Nie pamiętam jej nazwiska, ale do dziś słyszę głos tej pani, obiecującej nam powrót do Krosna, do babci.

W domu dziecka było wiele polskich dzieci. Danusia rozpoczęła naukę w pierwszej klasie, a jej brat — leczenie. Był niezwykle wyczerpany fizycznie. W pokojach stało kilkanaście przycz z siennikami przykrytymi samym kocem. Dzień rozpoczynał się apelem, na którym śpiewano hymn do Stalina. Potem porczyka czarnego chleba i nauka w szkole. Na obiad zupa, w której próbowało się znaleźć kawałek ziemniaka. Wkrótce Danusia miała tak samo wybulony brzuch, jak jej chory brat.

— Którejś niedzieli odwiedziła nas dobra wróżka ze stepów. Przyniosła jedzenie, mleko, które jako się żyżką i konserwy mięsne. Dokarmiła nie tylko nas, ale wszystkie dzieci. I przy każdym odwiedzinach powtarzała: „Już niedługo. Womna się wkrótce skończy i przyjdzie po was”. Któregoś dnia wszystkie polskie dzieci wszadono do pociągu i trafiliśmy do Zagórka koło Moskwy. Ze wszystkich stron Związku Radzieckiego zwożono tam polskie dzieci, by nakarmione i nieco podleczone odtransportować do kraju. Na moskiewskim dworcu przemawiała jakaś pani. Nie bardzo słyszałam, co mówi, bo razem z bratem mieliśmy świnkę i obowiązano nam głowy jakimiś pieluchami. Opiekunka powiedziała, że żegna nas i życzy szczęśliwego powrotu do kraju Wanda Wasilewska.

I znów nocy i dnie spędzone w wagonie. Na pierwszej polskiej stacji ludzie wrzucali do pociągu chleb i ser. Wszyscy płakali, ale dla dzieci nie był to ostatni przystanek. Z wagonów wysiedli gdzieś w pobliżu Warszawy. Na miejscu byli lekarze i ciepłe jedzenie. I była Polska 1946 r.

— Dowiedzieliśmy się, że nasza gehenna się kończy. Dostaliśmy skierowanie do domu dziecka w Kwidzynie. Ja pojechałam tam zaraz, brat musiał zostać w szpitalu. Spotkaliśmy się znowu po miesiącu i na kwidzyńskim moście złożyliśmy sobie przysiężenie, że nikt i nic już nas nie rozdzieli. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że przez cały czas naszego pobytu na Syberii siostry mamy czyniły starania o nasz powrót. Nie pominęły żadnego transportu, pytały o nas Polaków wracających ze Związku Radzieckiego, szukały do domach dziecka. Trafiły wreszcie do Kwidzyna. Nazwiska się zgadzały, imiona też, ale dyrektorka Lubomira Kamińska musiała mieć pewność, że dzieci są właściwe i rodzina też. Pokazała Adasiowi fotografię i zapytała, czy zna panie, które są na niej. Adaś powiedział: ta najniżej, to jest moja mamusia, w środku ciocia Zosia, a najwyżej ciocia Irena. Adam znalazł doskonale to zdjęcie, bo identyczne trzymałam schowane na dzień walizki. To jedyna pamiątka zachowana po matce. Nie poznaliśmy żywych cioci, ale fotografia przekonała dyrektorkę, że na pewno jesteśmy dziećmi Marii Machowskiej i że odbiera nas właściwa rodzina. — Jedziemy, dzieci, do Krosna — usłyszeliśmy przez łyż. Babcia nie może się was doczekać.

Był luty 1947 roku. Koniec tulącej drogi i prawdziwy koniec wojny...

Renata MACHNIK

Akt oskarżenia zarzuca Stanisławowi M. nieumyślne spowodowanie śmierci 10-letniego Radosława R. Stanisław M. jest z zawodu technikiem - elektrykiem. Pracował w Spółdzielni Mieszkaniowej w Krośnie w charakterze mistrza ds. dróg i zieleni. Oskarżony ma 40 lat, domek jednorodzinny i gospodarstwo rolne w Bratkówce, dwójkę dzieci w wieku 8 i 15 lat.

Nikt nie przypuszczał, nie nie wskazywało, że wejdzie w kolizję z prawem, na drogę przestępstwa. Bo przecież i dokonano się ono w sposób niezamierzony, jak zły los; wykroczeń pracowniczych, jakich dopuścił się M., popełnia każdy z nas kilka każdego tygodnia, młode dnia... Tyle, że tutaj jest śmierć i to śmierć dziecka, związana z nią ogromna, niewyobrażalna niemal tragedia rodziny. Tyle, że tutaj głos ma i opinia społeczna, mocno zbulwersowana tym, co 20 czerwca ub. r. stało się na placu zabaw przy ul. Armii Krajowej w Krośnie, wszyscy ojcowie i matki ze zgrozą powtarzający: przecież tam mógł być mój Krzysiek, moja Ania, czy Dorotka...

Wypadek, mimo iż minęło tyle czasu, budzi zrozumiałe emocje. Ludzie, jak zawsze w takich przypadkach, domagają się surowej kary dla winnych. Niełatwy orzech do zgryzienia będzie miał i sąd, chcąc wydać sprawiedliwy wyrok. Nie jest rolą dziennikarza orzekać o winie, o karze, jest — rzetelne przedstawienie faktów. Te zaś są następujące:

Na początku września 1936 roku Krosnieńska Spółdzielnia Mieszkaniowa kupiła wprost od producenta i przywiozła na miejsce 4 rzedzalne dla dzieci. Ow producent, to zakład Budowlano-Reмонтowy Spółdzielni Mieszkaniowej „Północ” w Częstochowie, wytwarzający je w opanceriu o typowy projekt, opracowany przez Biuro Pro-

Zmienione zostały przepisy dotyczące wydawania zwolnień lekarskich. Dotychczas istniejące nie zadawały nikogo. Pacjenta nie, bo z trzech „chorobowych” dni zaledwie jeden spędzał w łóżku. Jeden na bieganii po aptekach, a jeden w ośrodku zdrowia albo w przychodni po przedurządzenie zwolnienia. Lekarza też, rzecz jasna, nie satysfakcjonował system opierający się na braku zaufania do wydawanych przez niego orzeczeń.

Od 1 stycznia 1939 roku mamy nowe przepisy. Okres między świętami Bożego Narodzenia a Sylwestrem przebiegał w służbie zdrowia pod znakiem szkoleń. Stosowne materiały dotarły do zainteresowanych w ostatniej chwili (rozporządzenie ministra zdrowia i opieki społecznej przedrukowała na swoich łamach „Rzeczpospolita” z 11 stycznia). Dotyczy ono — przypomnijmy: wydawania i dokumentowania orzeczeń lekarskich o czasowej niezdolności do pracy z powodu choroby pracownika lub z powodu konieczności osobistego sprawowania opieki nad chorym członkiem rodziny; dokumentowania okresów pobytu pracownika w specjalistycznym zakładzie służby zdrowia; orzekania o przewidywanej dacie porodu i wydawania zaświadczeń o dacie porodu odbytego, postępowania związanego z wy-